Lwów, 1. Czerwca № 65. Rok 1854.

Wychodzą we Wtorek, Czwartek i Sobotę. We Lwowie prenumerata roczna 6 Złr. — półroczna 3 Złr. — kwartalna 1 Złr. 30 kr. — miesieczna 30 kr. m. k. W kraju z przesyłką pocztową rocznie 8 Złr. — półrocznie 4 Złr. — kwartalnie 2 Złr. m. k.

NOWINY

Ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą od wiersza pismem petyt w przedziałce za jednorazowe umieszczenie po 3 kr., za następ. po $1\frac{1}{2}$ kr. i za dopłatą 10 kr. stępl. za każdorazowe umieszczenie. Bióro expedycyi w księgarni H. W. Kallenbacha.

DWA ŚLUBY,

Powieść fantastyczna.

przez

Józefa Korzeniowskiego.

(Ciąg dalszy.)

Księżniczka słuchała tego wszystkiego ze spuszszonemi oczami, mnąc i rozciągajac swoją chusteczkę. Gdy hrabia umilkł, podniosła głowę i parsknąwszy głośnym śmiechem rzekła:

— Pan mówisz to tak seryo, z takiem przeniknieniem, iż mi się zdaje, że przybyłeś tu prościuteńko od starej jenerałowej, z którą o stanie mego serca musiałeś mieć długą konferencyą.

— Mylisz się pani — odpowiedział hrabia — ja wracam prosto z Łazienek.

— A! pan wracasz z Łazienek — rzekła księżniczka lekko — i widziałeś mię zapewne na moście rozmawiającą z panem Włodzimierzem. I ztąd wniósłeś pan, że ja go kocham.

— Czyż pani go nie kochasz? — zapytał hrabia patrząc jej przenikliwie w oczy.

Księżniczka zaczerwieniła się, schyliła wzrok ku ziemi i potem przybrawszy minę seryo, poprawiła się na krześle i z powagą odpowiedziała:

— Panie hrabio! chcesz mię tym zapytaniem zmusić, abym skłamała. Zanadto pana szanuję, abym dłużej z panem grała tę komedyę, która w oczach tak przenikliwego człowieka nic mi nie pomoże. Rzeczywiście kocham pana Włodzimierza i właśnie dziś, wbrew wyznawanej przez pana zasadzie, oświadczyłam mu, że chcę być, i będę jego żoną. Daruj więc pan, ale żądaniu pańskiemu odpowiedzieć nie mogę, jak sam to widzisz, a jako człowiek delikatny nie zechcesz mię zmuszać, abym panu drugi raz odmówiła. Z tego więc względu pomiędzy nami interes zupełnie skończony. Ale jakimże sposobem wpadłeś na trop mojej serdecznej tajemnicy, którą chowałam tak, iż mi się zdaje, że się jej nawet jenerałowa nie domyśla. Czy to jest czyja bądź konfidencya, czy niedyskrecya pana Włodzimierza, czy pańska własna przenikliwość?

— Blisko od roku postanowiwszy, że nie kto inny tylko pani będziesz moją żoną — rzekł hrabia z uśmiechem pewności — miałem oczy otwarte. A jako człowiek doświadczony, w takiego rodzaju stosunkach kontrabandowych (przepraszam panią za tę wierność mojej zasadzie) dostrzegłem to, czego dotąd nikt nie dostrzegł, i o czem nikt nie wie.

— Nie pytam się — rzekła księżniczka uradowana tem zapewnieniem — czyś pan komu postrzeżenia swego nie zakomunikował. Za nadto wysokie mam wyobrażenie o honorze pana hrabiego i jego delikatności.

— Pani oddajesz mi sprawiedliwość — rzekł hrabia kłaniając się. — Sekret ten zachowałem tylko dla pani.

— Sekret ten panie hrabio! potrzebnym mi jeszcze jest do pewnego czasu — mówiła dalej niby proszącym tonem. — Sądzę więc, że choć nie mogłam odpowiedzieć prośbie pana, pan zadość uczynisz mojej i zachowasz go póty, póki pana do objawienia uczuć moich nie upoważnię.

— Każde życzenie pani jest i będzie dla mnie wyrokiem — odpowiedział hrabia z grzecznością.

— Dziękuję panu, panie hrabio!

Gdy hrabia powstał i kłaniał się, ona patrząc na niego z wdziękiem i kokieteryą i pragnąc ująć sobie człowieka, który był panem jej tajemnicy, wyciągnęła do niego rękę i dodała:

— Ale nie rozstajemy się po nieprzyjacielsku, nie prawdaż. „Soyons amis Cinna, c'est moi qui vous en convie.“

Hrabia ujął jej rękę, dotknął ustami jej delikatnych paluszków i rzekł:

— Pod tym jedynym warunkiem, że pani pozwolisz mi pozostać przy tem przekonaniu, że to coś mi odpowiedziała, nie jest jeszcze ostatniem słowem.

To powiedziawszy skłonił się i wyszedł, a księżniczka Eleonora patrząc za nim, zrobiła sobie tę uwagę, że równie w jego ułożeniu jak i w postąpieniu z nią jest wiele godności, że chociaż goni za oryginalnością, widać jednak ze wszystkiego, że nie należy do rzędu tych ludzi pospolitych, jakich się co dzień spotyka. Zamyśliła się więc, leżąc z gracyą na głębokim fotelu, potem wzięła znowu książkę i zaczęła czytać. Wprawdzie litery plątały się w jej myśli, jak i pierwej, wiersze zlepiały się z sobą, ale niewyrastał z nich ani pałac łazienkowski z błyszczącemi oknami, i nie urabiał się Sobieski, ani te Turki, po których karkach koń jego depcze. Co większa, gdy nazajutrz pan Włodzimierz wszedł z czołem jasnem, z sercem uspokojonem i z uśmiechem na ustach, zastał znowu ją zamyśloną, jakoś ukośnie patrzącą i unikającą widocznie każdej spo-

sobności, w której mogłaby go jeszcze dobrem słowem w nadziejach jego utwierdzić i tajemnem dotknieniem rączki uszczęśliwić.

Młodzieniec kochał szczerze, miał wzrok bystry, nie mógł więc nie postrzedz, że coś zaszło, co gmach jego nadziei podkopuje. Pomimo więc wczorajszego zapewnienia, zadrżał mimowolnie, postrzegłszy tak nagłą zmianę, i chociaż wola jego była silna, nie mógł utaić zmartwienia, jakie mu dało to podejrzenie, że piękny ten pałac, do którego czarodziejka jego obiecała go wprowadzić, buduje się na piasku.

Księżniczka ze swojej strony postrzegła od razu, skoro p. Włodzimierz wszedł, że wczorajsze jej słowa stały się jego ewangelią, że dosyć jej spojrzenia, aby czoło młodzieńca opromieniło się nadzieją, a serce jego przepełniło się rozkosznem uczuciem. Władza ta ucieszyła ją, ale nie mogła jeszcze wczorajszego wrażenia usunąć, wyplątać swej duszy z krzyżujących się myśli i odgarnąć z czoła tej troski, jaką jej dało oświadczenie hrabiego i jego przenikliwość. Unikała więc kochanka tym bardziej, że bystre oko hrabiego ścigało ją i uśmiech wpół domyślny, wpół ironiczny przebiegał po jego pięknych ustach. Gdy jednak po niejakim czasie postrzegła, że pan Włodzimierz na seryo się zmartwił i że nawet łza w jego oku błysnęła, ulitowała się nad nim i przy zdarzonej okoliczności, przechodząc mimo, szepnęła mu: „Włodziu nie zważaj na mój humor. Jestem niezdrowa.“

Słowa te zwiały smutek z czoła młodzieńca. Serce jego podrosło; a gdy w tejże chwili kilka dam zaczęło go prosić, aby usiadł do fortepianu, usiadł więc i klawisze poczuły, że je szczęśliwa dotyka ręka. Cudne akordy uciszyły wnet całą kompanią, księżniczka Eleonora z kilku młodemi kobietami stanęła przy fortepianie, a gdy pan Włodzimierz zaczął śpiewać, spojrzała na niego tak, że pod czarami jej oka głos jego tak się oczyścił, tak się zrobił giętkim i słodkim, że niejedna pierś napełniła się westchnieniem, że wszystkie usta ozwały się powszechną pochwałą i że księżniczka Eleonora o wczorajszej swej rozmowie z hrabią Andrzejem zapomniała.

Mniej więcej podobnie, mniej więcej jednostajnie przechodziły kochającej się parze dni i miesiące. Zawsze tenże sam sekret, gdyż hrabia jako człowiek szlachetny i dziwnie pewny siebie, dotrzymał słowa, zawsze taż sama ostrożność, toż podnoszenie się i opadanie nadziei ze strony młodzieńca jednakowe, ale ani na włos nie większe łaski ze strony panny. Tak więc, chociaż czas uchodził, p. Włodzimierz stał prawie na tymże samym punkcie, i tyle tylko postąpił, że gdy wiadomość o oświadczeniu się hrabiego i odmówieniu księżniczki gruchnęła jakoś po Warszawie, gdy powszechne wywołała zadziwienie, gdy nikt nie mógł pojąć, dla czego para tak dobrana nie kojarzy się, dla czego osoba tak rozsądna, tak dobrze wychowana i zachodząca już w lata odmawiała ręki swej mężczyznie, który pod każdym względem jest najpierwszą w kraju partyą, p. Włodzimierz, słuchając rozmaitych domysłów i argumentów pro i contra, uśmiechał się tylko i myślał sobie w duchu: „odmówiła mu bo mnie kocha; jest równie stałą jak piękną, równie dobrą jak odważną. O! zaiste! mogę się nazwać szczęśliwym, mogę sobie powiedzieć żem się w czepku urodził.“

Po tej stanowczej rozmowie, któráśmy wyżej przytoczyli, hrabia wyszedł od księżniczki z podniesioną głową, z uśmiechającą się ironicznie twarzą, schodził ze schodów poświstując, a gdy wrócił do swego pałacu, wszedł do swego gabinetu i zaczął przezierać rysunki, na których był jego herb i tarcza pusta z mitrą, oznaczająca dostojność książęcego domu. Oba te herby, jeden wyraźny a drugi domyślny, tak z rozkazu jego były ułożone, jak się zwykle te znamiona starożytności rodu splatają, kiedy oboje małżonkowie poszczycić się niemi mogą. Wybrawszy z tych rysunków najpiękniejszy, przygotował polecenie do Wiednia, aby herby te na powozach uprzednio przez niego obstalowanych i już gotowych bogato wyzłocone zostały. Jednocześnie przejrzał i popodpisywał korespondencye do Wiednia, do Drezna, do Paryża i do Londynu, zamykające obstalunki rozmaitych przedmiotów przepychu, któremi mógłby przybrać i urządzić apartament dla siebie i dla żony z wykwintnością, ozdobą i gustem takim, iżby mieszkanie to było pierwszem nie tylko w Warszawie, ale żeby nawet każda ze znaczniejszych stolic w Europie mogła je policzyć do pierwszych i odznaczających się zbytkowością, elegancyą i wygodą. Wszystkie te listy popieczętował i kazawszy kamerdynerowi, aby je nazajutrz rano wyprawił według adresów, przebrał się i z twarzą spokojną, z czołem, na którem był jakby wyraz jakiegoś tryumfu, pojechał na wieczór do księżny Hortenzyi.

Chociaż wszyscy wiedzieli, że się oświadczył księżniczce, i że mu odmówiono, nie zmienił bynajmniej swego sposobu postępowania, ani z córką, ani z jej rodzicami. Bywał równie często jak i dawniej, przyjmowano go równie uprzejmie, jak i przedtem, rozmawiał z takim samym humorem, przysuwał się z takąż samą poufałością z krzesłem swem do krzesła księżniczki, jak to i pierwej zwykł czynić, gdy miał jej coś złośliwego o kimścić powiedzieć; co ona nawzajem z dawniejszą przyjmowała grzecznością, śmiejąc się wesoło i bawiąc się jego uwagami, które niepozbawione były dowcipu. Słowem, tak ważny wypadek, który w dworku szlacheckim zmieniłby te okoliczności codziennego bytu, któryby smutkiem nabawił rodziców, nadał tyle frasunków pannie, i wygnałby na zawsze z progów jej kawalera, upadł na tę świetną powierzchnią życia wielkiego świata, jak pada kamień na lśniącą szybę jeziora, i znikł w niej bez śladu.

We dwa miesiące przyszły powozy z Wiednia i sto-

pniami zwożono do pałacu hrabiego Andrzeja z różnych stron Europy kosztowne meble, cudne bronzy, ogromne zwierciadła, kapitalne obrazy i posągi, najpyszniejsze porcelany, marmurowe kominki, drogie materye na obicia, ogromne kobierce na podłogę, słowem rzeczy tak ozdobne, tak pełne elegancyi, że oczy brały w siebie i zdolne były najbogobojniejszego Anachoretę wywołać z pustyni i przywiązać do życia. Powozów było cztery: kareta podróżna, w której nie tylko można było jechać, ale nawet mieszkać, tak była wygodna, tak doskonale urządzoną; kareta podwójna wizytowa, kocz do spaceru i kabriolet na dwie osoby, w którym sam jego właściciel mógłby boginią swą przewieźć. Razem z powozami zwieziono uprzęże, wyrób prawdziwie artystyczny i królewski, a jednocześnie przyszły konie ze Sławuty, ze znakomitej wówczas stajni księcia Eustachego Sanguszki, z których każdy najmniej pięćset dukatów kosztował.

Gdy powozy rozpakowane zostały, ustawiono je rzędem na dziedzińcu pałacu hrabiego Andrzeja, pootwierano drzwiczki u karet, pozdejmowano pokrowce z kocza i kabryoletu; w stajni zaś urządzonej z elegancyą, czystszej niż pokój dziecinny u tych dobrych matek, które w aksamitach i blondynach idą w niedzielę na Nowy Świat na spacer, stały przy marmurowych żłóbkach cudne bieguny, a w przyległej masztarni wisiały uprzęże najnowszej formy, lśniące jak zwierciadło i wykładane srebrem z wielką delikatnością i sztuką.

Najprzód przyjaciele hrabiego i znawcy zbiegli się na tę expozycyą. Słodko jest sercom polskich panów poadmirować rzecz zrobioną za granicą. Tą razą admiracya ich była tem milszą, że była słuszną, gdyż rzeczywiście wszystko nosiło na sobie cechę takiego wykończenia, takiej dokładności, takiego gustu, że najwymyślniejszy znawca nie mógłby nic dopatrzyć, coby nie było zdolnem zaspokoić, podobać się i zachwycić. Herby zastanowiły wszystkich. Dochodzili dla jakiego to książęcego domu przygotowaną była ta pusta dotąd tarcza? Każdy wiedząc, że mu księżniczka Eleonora odmówiła, szukał myślą, która ze znajomych im księżniczek byłaby godną takich ekwipażów, takich koni i takich szorów? a nieznajdując żadnej, zapytywali hrabiego. Hrabia uśmiechał się tylko i nie odpowiadał. Równie więc ta okoliczność, jak i rzeczywista wartość i piękność sprowadzonych rzeczy, tak zaintrygowały wielki świat warszawski, że nietylko mężczyźni, ale i damy zachodziły spacerem na dziedziniec pałacu hrabiego Andrzeja, ile razy przy sprzyjającej pogodzie powozy były wytoczone, stajnia i masztarnia otwarte, i jakby na przyjęcie tak znakomitych gości wymuskane i wytrefione.

Ponieważ przez długi czas o niczem innem nie mówiono, tylko o cudnych ekwipażach hrabiego, o tym tajemniczym herbie i o domniemanem jego ożenieniu, rozmowy te obiły się także i o uszy księżniczki. Dziwnie ją to tknęło i taką w niej obudziło ciekawość, że postanowiła ją koniecznie zaspokoić. Wstydziła się i niechciała zrobić tego jawnie. Przypomniawszy więc sobie, że matka jej bierze czasem po południu książkę do nabożeństwa, wychodzi sama jedna i nie każe nawet lokajowi, aby szedł za nią, naśladując tę skromność macierzyńską, i to zaniechanie niepotrzebnej w takim razie ostentacyi, ubrała się raz po prostu, zapuściła woal, wzięła książkę do nabożeństwa i kazawszy francuzce swej iść z sobą, poszła ku pałacowi hrabiego. Gdy zajrzała w bramę i postrzegła, że powozy stoją, że stajnia otwarta, ale z ciekawych niema nikogo, weszły obie na dziedziniec. Księżniczka obejrzała wszystko, a dziwiąc się sztuce rzemieślników wiedeńskich i admirując stajnię sławucką, powróciła prędko do domu. Tu rzuciwszy się na szeslong zaczęła rozmyślać. Odgadywała ona myśl hrabiego, że czeka tylko jej pozwolenia, aby na tej pustej tarczy, pod mitrą kazał herb jej oznaczyć. Zarozumiałość ta nierozgniewała jej wcale, a znajdując koncept jego dowcipnym, uśmiechała się złośliwie pomyślawszy, że wszystkie warszawskie księżniczki będą sobie wyobrażały, że miejsce to jest dla nich, że zatem czeka ją zabawny spektakl daremnych umizgów matek i napróżno wyexpensowanej kokieteryi córek. (D. c. n.)

OPOWIADANIE X. BISKUPA.

Ustęp z „Zgody Senatorskiej" Wincentego Pola.

. . . . Na Chwaniów dwóch szlachty jechało,
Jeden był człek zażywny, drugi wyschły, cienki,
Ten jechał z Nowosielec, a tamten z Ropienki,
Obaj jechali konno i obaj bez sługi,
Z targu powracał jeden, z kompromisu drugi;
I zjechali się w górze, przy karczmie na dziale;
A że tam droga wiedzie pod gorę zuchwale,
Ztąd też się i rumaki utrudziły obu,
I jeden konia swego przywiązał u żłobu,
A drugi na podsieniu, i oba czekali,
Aż konie wytchną sobie, by znów ruszyć dalej.
Najprzód pojrzeli z dala po koniach i sobie,
Ten stojąc na podsieniu, a tamten przy żłobie,
A po chwili namysłu, kiedy się zbliżyli,
Wzajemnie sobie z lekka czapki uchylili,
I stanęli przed karzmą:
«Ależ gora, góra!»
Rzecze jeden po chwili—«A dla mnie już wtora,—
Rzecze drugi mu na to, bo na Branów jadę,
I ledwo że mój deresz dał tej górze radę,
Bo od ranam nie wytchnął.»— «A gdzież się tak śpieszy?»
— «Ha do domu, bo w drodze człek się nie pocieszy.
— «Oj prawda! wielka prawda, rzekł drugi z westchnieniem,
Ależ bo i do domu źle wracać z strapieniem.»
— To i Waszmość jak widzę nie uszłeś przygodzie?«
—«Tak jest! a co najgorsza, że ani na brodzie,
Ani na moście, Panie, ani na przewozie,
Naszło mię licho skrycie, ale na gospodzie,
U żyda i przy winie.—»
— «Bywa to tak bywa! —

Rzecze tamten z uśmiechem—że człek łzami zmywa,
Nie raz chwilę pociechy!" —
— «Jeszcze żeby łzami,
Ale tu do krwi doszło, i sprawa z żydami.
Jeszczeć nie miałbym żalu, gdybym był się upił,
Ale trzeźwym mię widzisz. Beczkęm wina kupił,
Na imieniny żony—i rzekłem Jejmości,
Że będzie czem honeste przyjąć w domu gości,
Jużciż znam się na winie, było dwupudowe,
Pięknie zielonkowate, wytrawne i zdrowe,
Miało już i obrączkę; a więc po świadomu -
Zapłaciłem żydowi, i wino do domu
Kazałem przysłać sobie—wystało do czasu.
Aż patrzę, miasto wina żyd mi przysłał kwasu,
Aż kolorem przestrasza! dziś był dzień targowy,
A więc jadę do Liska, i w gospodzie owej,
Gdziem był kupił to wino, zachodzę do żyda,
I mówię mu poczciwie, iż czasem się wyda,
I omylić się człeku — a on się zuchwale,
Stawi — i o tem winie nie chce słyszeć wcale.
Powiadam mu na rozum, chcę iść do piwnicy;
A on mi się przeciwi, i nie daje świecy!
Więc gdy mi się w brew prawdzie jeszcze uzuchwalał
Torknąłem go obuszkiem, a on krwią się zalał.
Nie miła sprawa, Panie, gwałt się zrobił w mieście,
Więc dałem coś na plastry! niech was licho wreszcie,
Weźmie tu! pomyślałem—kto tam dójdzie ładu,
I wracam zfrasowany, nie jadłszy obiadu,
Bo za groszem i winem boleje mi dusza,
I pijże z przyjaciołmi kwaśnego cienkusza!

Na to rzecze mu drugi: «A jakem sodalis,
To już dzisiaj jak widzę, pewno jest feralis,
Bo i mnie krzywo poszło—trudnąm miał przeprawę,
Bom musiał między bracią sądzić ciężką sprawę!
Każdy z braci na swoje koło ciągnął wodę;
O młyn poszła ta kłótnia—więc trudno o zgodę.
W prawdzieć młyn bywał zdawna starszego własnością,
Lecz trudno było braci zostawić z tą kością,
I trudno też szlachcica odsądzić od mlewa:
Więc gdy sąd w końcu stanął, przyszła myśl szczęśliwa,
Przepołowić tę sprawę i dla miłej zgody,
Naże tobie pół wody, i tobie pół wody!
Ale gdyśmy po radzie wyrok ferowali,
I akt spisawszy prawnie obom stronom dali,
Aż tu—czy Waść uwierzysz?—że miasto wdzięczności,
Wzięły się sporne strony do sędziów i gości:
«A to krzywda! to zdrada! to rozbój w dzień biały!»
Bo każdy sam dla siebie chciał posiąść młyn cały,
Na taką więc odpłatę bratniej charitatis.
Powiedziałem obudwom verba veritatis!
Siadłem na koń, splunąłem i powiem Mosanie,
Że tam już moja noga więcej nie postanie!
Bo między swarną bracią kto tam dojdzie ładu?
A tak i ja podobnież jestem bez obiadu.
Więc gdy obadwaj byli głodni i strudzeni,
Weszli razem nareszcie do karczmy z podsieni,
I napili się wódki, jajecznicę zjedli;
Ale nim jeszcze oba na konie usiedli,
Pyta jeden: «A jakże będę znał Waszmości?
Nie godzi się tak rozstać po tej znajomości.»
— «Leszczyński, — rzecze drugi.
— »A których-że, których?»
— «Jak to których, Mospanie?—rzekł Leszczyński gniewnie,
I ogień nagle błysnął mu z pod brwi ponurych.
«Jużciż mi nikt kaduka nieśmie zadać pewnie;
Jakto, których Leszczyńskich? Nie ma tylko jedni!
Czy na tronie w koronie, czy w zagrodzie biedni!»
— «Ależ przepraszam, rzecze mu tamten powoli,
Nie obrażam, lecz pytam, więc niech to nie boli;
Wszakże w Polsce panował król tego imienia?—
I mnie Stanisław także,—rzecze od niechcenia,
Na to znowu Leszczyński: —«jeden herb, dom jeden,
Jak to bywa u szlachty polskiej już od wieka,
Jeden siedzi na tronie,—a drugi choć bieden,
Nie gorszy przeto sobie—i korony czeka.»

Gdy po chwili ochłonął, nawzajem się pyta:
— «Jakże będę miał zaszczyt?—niech że będzie kwita.»
— Popiel, rzecze mu tamten!—«Popiel? No i proszę,
A których?»—dodał z cicha zdziwiony potroszę,
— «Jakto których Mospanie?—Popiel znów zapyta:
Czy był gdzie może jaki Popiel Neofita?» —
«Ależ bo jest tradycya!—rzekł Leszczyński ciszej;
Na to Popiel: «—ot bajki—popielowe myszy!
I nie wszystkich Popielów musieli zjeść przecie,
Bo z kądże bym się wreszcie był wziął ja na świecie?
— «Co to, to wielka racya, a więc krew królewska?
Niech zacne rody łaska podpiera niebieska!
Rzecze na to to Leszczyński—więc Waści król rodzi?«
— «Tak, rzecze z cicha Popiel, i krew pańska schodzi.........—
— «Nie schodzi, Panie Bracie!—Leszczyński mu powie,
Lecz się zeszła fortunnie w mej i twej osobie,
Uściskajmy się Bracie, królów potomkowie,
Bo Popiela i Piasta zacne to krwie obie!«
Uściskali się tedy, zapłakawszy rzewnie,
I byłoby tam więcej tych affektów pewnie.
Ale czas było jechać—pan Popiel tarł ucho;
— Tak zacnym plemiennikom rozstać się na sucho?
Hej! podaj żydzie wina do tego zawodu!
Wina w karczmie nie było—ha! to daj nam miodu;
Lecz i miodu nie było—a więc proces krótki,
Salvis juribus familiae! daj nam żydzie wódki!
I podpili na wódce bez obrazy rodu;
A że się słońce miało dobrze ku zachodu,
Więc z Chwaniowa ruszyli oba w jedną stronę,
I nie było już sporu więcej o koronę,
I każdy z nich zapomniał od kogo rod wiedzie,
I nie było wierniejszych w świecie towarzyszy,
Leszczyński już nie wspomniał więcej—«owych myszy»
A Popiel ani słowa nie wyrzekł—«o Szwedzie.»

Najnowsze dzieła.

1) Urodzony Jan Dęboróg.

Dzieje jego rodu głowy i serca przez niego samego opowiadane a rytmem spisane.

(Przez Władysława Syrokomlę. Petersburg 1854.)

2) Zgoda Senatorska, tradycya szlachecka.

(Opowiedział Wincenty Pol. Petersburg 1854.)

Pod pierwszym tytułem wyszła świeżo z druku nakładem Wolfa w Petersburgu nowa gawęda Syrokomli (Ludwika Kondratowicza.) Skromnie gawędą nazwana, jest to śliczna

powiastka wierszem napisana, pełna świeżości, prawdy, a mianowicie szczerego i zdrowego uczucia, które jest piętnem talentu tego autora. Treść powieści prosta, niewyszukana, ale przemawia do serca, prostotą opowiadania, obrazami sielskiemi, w których Syrokomla jest mistrzem, tłem czysto narodowem, które zarówno odbija się w całości, jak i we wszystkich szczegółach, a szczególnie tą prawdą nieprzesadzoną niczem, poety który czuje, i powieściarza który opowiada. Dawno nie zdarzyło się nam czytać utworu, z rodzaju tak częstych od niejakiego czasu gawęd polskich, któryby tak zupełnie odpowiadał temu czego wymagamy od gawędy bez pretensyi, i któryby był tak prawdziwie polską gawędą, dającą wyobrażenie o drobnych, pełnych zawsze dla nas uroku szczegółach, życia wiejskiego, jakie błogo pędził dawniej szlachcic polski. I ten szlachcic polski tem więcej się nam podoba, że autorowi gawędy jak to dziś jest w zwyczaju, nie służy za podstawę i środek do przeprowadzenia jakiejś stronniczej myśli, ale jest oddany wiernie, po prostu, ze wszystkiemi swemi błędami i wszystkiemi cnotami domowemi. W tym ślicznym epizodzie o życiu i tradycyach dworku szlacheckiego, niema ani apotheozy szlacheczyzny, której już mamy aż do zbrzydzenia, i którą tak nam dosadzają, że na koniec sami panegirzyści zabiją tę wiarę, którą chcą niby panegirykami wskrzesić; ani też niema tego potępiającego krzyku na szlacheczyznę naszą, który niebyłby może tyle głośny, gdyby nie niezgrabne dźwięki lutni panegirzystów, w którym krzyku jest wiele prawdy, smutną wynikłością naszych dziejów stwierdzonej, a który mimo to zaboli nieraz i piszących samych i czytających, bo i jedni i drudzy mają w krwi już swojej zaszczepioną sympatią do tych wszystkich zarysów życia narodowego, jakie, prawdę rzekłszy, nigdzie tak żywo się nie odbijały i nie odbijają dotąd, jak w szlacheczyznie. I zaprawdę pisarzów występujących na przeciw mnogim jej wadom, na przeciw jej zdrożnościom, które nam tyle szkody przyniosły, występujących w szczerym celu poprawy i pożytku dla dzisiejszego i przyszłych pokoleń, porównać by można w tej mierze do owego pelikana, który pokolenie swoje karmi krwią serca swego.

Lecz wróćmy do Jana Dęboroga. Opowiedzmy treść tej prostej powiastki. Zaczyna się ona od przedmowy do litewskiego czytelnika. Początek tego przedśpiewku przypomina nieco śliczny ustęp Adama Mickiewicza w panu Tadeuszu, po którym niepodobna już cudniej i rzewniej przemawiać do ziemi rodzinnej. I już w pierwszej chwili obawia się czytelnik, by się nie zdybał z niezgrabnem naśladowaniem, lecz wnet przemija chwilowa trwoga. Autor kocha swoją ziemię rodzinną, i w tej miłości może zdybać się z wielkim poetą, lecz go nie naśladuje, i przywiązanie swoje rozpowiada bez przesady i natężenia, rozpowiada o jej miłych jego sercu i borach i rzekach i lesistych krajobrazach, o jej cnotach, o sercu Litwina które jak Niemen zakipi czasem gniewem, lecz wnet ochłonie, udobrucha i krzywd swych zapomni, o jej wreszcie licznych gadkach po dworach i siołach, z których wyjął treść swej powieści, opowiadanej mu przez samego Jana Dęboroga, poważnego już męża w czasie popasu zdybanego.

Powieść się zaczyna od koniecznego początku szlacheckiej gawędy. Pan Jan Dęboróg opowiada ród swój i pochodzenie szlacheckie.

> Z dziadów z ojców w naszym rodzie
> Zawsze były łaski Boże;
> Szlachta drobna lecz zasobna,
> Krzywo pisze, prosto orze,
> Procesuje, strzeże kopców,
> Lasy pali, Boga chwali,
> I hoduje walnych chłopców.

Tym sposobem lekkim, prostym i prawdziwym opowiada dzieje rodzinne, o antenatach którzy nigdy senatorskich nie piastowali urzędów, ale nie mało powiatowych naliczyć mogli dygnitarzy. Najważniejszym z przodków osobistością swoją i wpływem na osnowę powieści był rotmistrz pancerny, który walczył i zginął na Ukrainie, i kazał przewieźć ciało swoje do ojczystej zagrody, i pochować na granicznej miedzy. Istotnie kopiec graniczny, dzielący posiadłości Dęborogów i Brochwiczów, był zarazem mogiłą rotmistrza. Dwa te domy sąsiednie, bliskie siebie, (dworek Brochwiczów był tuż za miedzą za kopcem) nie żyli z sobą. Pan Jan Dęboróg młodym będąc jeszcze chłopcem, zapytał ojca o przyczynę tego, lecz oberwał tylko burę, i kilka wspomnień o Trockim wojewodzie, o którym pan Paweł ojciec Jana, szczycąc się dawną zażyłością z tym wielkim panem, lubił rozpowiadać przy każdej sposobności. Sens moralny że:

> Wiele wody upłynie, długie przejdą lata
> Dopóki się Dęboróg z Brochwiczem pobrata.

Ten pan Paweł jest prawdziwy przeszłowieczny szlachcic, gdy mu przychodzi pomyśleć o edukacyi syna, żałuje jezuitów, Alwara i rózgi, i niewierzy w książki pijarskie, bo

> Równo z Alwarem wszystko zginęło
> Ksiądz jezuita niegdyś dobitnie
> Wrażał łacinę i karność w dziecię,
> Przetoż bywało i mądrość kwitnie,
> I lepiej było jakoś na świecie.
> Przodkowie nasi z tąd mieli ducha
> Z tąd wiekopomne tworzyli cuda,
> Dzisiaj bez rózgi moralność krucha
> Z pijarskich książek łacina chuda.

A do tego nie wiodło się jakoś Dęborogom; mimo pięknej włości brakowało pieniężnych zasobów, by syna wysłać do szkół. Lecz:

> O milę w wiosce był dom plebana
> Mała świetlica w ziemię schowana
> Krzyżyk się wznosił na facyacie
> I człowiek boży mieszkał w tej chacie.
> Ksiądz definitor święty, wymowny,
> Poważny wiekiem, szlachcic herbowny.

Opisanie tego księdza, który z jakiegoś klasztoru przy-

był na plebanię jest pełen uroku. Chcąc oddać piękności tego opisu trzebaby cały ten przytoczyć ustęp, czyli po prostu całą przedrukować gawędę, pełną ślicznych ustępów. Pan Paweł szanował księdza, lecz kłócił się z nim, zawsze prawie po łacinie, i zawsze o tę niezgodę sąsiedzką. W braku innych środków, postanowił tedy oddać syna do księdza definitora; jakoż zawiódł go do plebanii. Lecz o mało projekt się nie rozchwiał, bo ksiądz powiada:

Ja stary mam narowy, a szlaehcice mali,
Zwykle z domu przynoszą dwa początki liche,
Bo dwa grzechy śmiertelne: lenistwo i pychę.

On nas ludzi ma wszystkich za równych, i zapowiada naprzód ojcu, że syn jego będzie pracował z nim razem w polu nieraz i przy sianie i przy zbożu, i wraz z nim i czeladką przy jednym jadać stole. Naturalnie w pole będą szli z gramatyką łacińską i z Wirgiliuszem, bo sielanki najlepiej w polu się wydadzą:

A szlachcic co ma dzierżyć lud boży pod władzą,
Gdy sam pozna w rolnictwie i róże i osty,
Nie będzie się tak lekko porywać do chłosty.

Zżymał się na to okrutnie stary szlachcic, i w dowód jak powaga szlachecka ma być zachowana, opowiada anegdotę o wojewodzie Trockim, który polując na kaczki topił się, gdy jeden poliszuk Hryćko, wyciągnął go za czuprynę. Wojewoda nazajutrz, gdy się dowiedział przy obiedzie i kielichu o tem, kazał kozakowi wyliczyć sto batów, za to, że zuchwałą śmiał pociągnąć rękę ku wojewódzkiej czuprynie. Długa była o to kłótnia, lecz wreście przemógł ksiądz definitor: Jasio młody pozostał u niego. Rok jego pobytu w plebanii przemknął jakby chwil kilka, tak mu tam było dobrze i swobodnie. Opis tego pobytu, nauk księdza definitora o cudach przyrody, jest pełen wdzięku mistrzowskiem piórem skreślony.

Na takich pogadankach płynie chwila chyża,
Ani ujrzysz, jak słońce ku ziemi się zniża,
Jak całodzienna praca już do końca blisko,
Jako się snop przy snopie składa na ściernisko;
Wtedy złożywszy kopy wracamy do wczasu,
Nucąc psalm staroświecki Jana z Czarnolasu,
Wtórują nam dziadowie i żniwiarze z wioski,
Aż się puszcza rozlega od hucznej pogłoski.

Najcudniejszy jest ustęp, gdy Dęboróg opowiada, jak nieraz w towarzystwie drugich chłopców jechał z końmi na nocleg w pole.

Na rosnej trawie rozścielamy suknie,
Zjemy ziemniaki i chleba po kęsie.
I chór: Dobranoc o Jezu! jak huknie,
Tak aż się echo w olszniaku zatrzęsie.

A tu tymczasem:

Chrust na stosie, ogień bucha,
Księżyc świeci, a gromada,
Pieśni, skazki opowiada,
Skazek, pieśni bacanie słucha.

Poźniej znowu:

Ogień zwolna gasnąć zacznie,
A nam sen powieki klei,
Ale czujnie, ale bacznie,
Każdy słyszy jako żywo,
Czy koń parsknie, czy podskoczy,
Brząknie trędzlą, wstrząśnie grzywą,
Albo zarży na uboczy.

Prawdziwie trudno się oderwać od tego obrazku, który przypomina wszystkie życia powaby wiejskie, wszystkie pamiątki sielskiego pokoju, niewytarte u nas nigdy z serc naszych, pamiątki własne, czy przeżyte czy duchem naszym narodowym wlane w nas.

Po chwilce drzymki oko się przetrze,
Blisko poranek, znać już po wietrze,
Znać już po gwiazdach, po szumie rzeczki,
Po głosie drozda i przepióreczki;
I koń już częściej stuka w kopyta,
Zroszoną trawę pospieszniej chwyta.
Cyt, już i słowik strzela piosenką,
Już i skowronek wita się z dzionkiem,
My za słowikiem, i za skowronkiem,
Nócim: Zawitaj ranna Jutrzenko!
Ot i rano, ot i dnieje,
Ot i gaśnie blask księżyca,
Ot i zorza, jak dziewica,
Miłą barwą rumienieje;
Ot i we wsi ruch niedzielny,
Kogut głosi czas świtania,
Ranny ptaszek, dziad kościelny,
Na pacierze już wydzwania.
Jakże pięknie dzwon daleki,
W mgłach porannych się rozpływa,
Rzeźwy chłodek wieje z rzeki,
Z oczu resztę snu obmywa.

Śliczne i świeże wszystko. A jak prawdziwe, gdy opisuje pan Jan pierwsze swe wrażenie, jakiemi go przejmują dzieje starożytne i ojczyste opowiadane przez księdza uczonego, poczciwego, na jakich tam dawniej nie zbywało istotnie, godzi nas poniekąd z tą przeszłością, której tyle słusznie zarzucamy, bo tyle złego zawdzięczamy.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Sympatie i Antypatie.

(Z opowiadania matki mojej.)

I.

(Dokończenie.)

W rok później Stanisław przyniósł Czyzi krajobraz na wzór prac Langa, starannie olejnemi wyrobiony farbami przedstawiający Cetnarówkę. Widno było usilną pracę i wykończenie w każdej gałązce i listku rozłożystych drzew tego pięknego ustronia.

—«Przyjaciel mój malarz, rzekł do Czyzi; w potrzebie pragnie zpieniężyć tę małą pracę swoją, może pani jako lubowniczka pędzla, zechcesz ją nabyć, on wie, że to praca początkowa, może nie warta uwagi, ale on też za nią wiele nie zakłada sobie.«

— Dobrze, nabędę, odrzekła Czyzia, wieleż ci wziąć polecił?

— „Ot kilka ryńskich mu potrzeba i na tem poprzestanie.”

— Masz trzy dukaty, daj przyjacielowi, niech się kształci dalej powiedziała Czyzia, dając mu złoto.

— To zawiele pani, jego by to bolało, nie mógłby tego inaczej poczytać jak za jałmużnę, a on nie ubogi, bo chce i umie pracować, tylko go teraz przycisło, dosyć dukata będzie, z warunkiem jednak, aby mi pani uręczyła, że nie wyrzucisz i nie sprzedasz tego, chybaby mnie jednemu.«

— Daję ci słowo jako żądasz, odpowiedziała Czyzia, ale możeby tak być mogło, abyś przyjacielowi dał odemnie dukata, którego potrzebuje, a sobie zatrzymał krajobraz?

— O nie pani, odrzekł Stanisław, ja nie mam gdzie teraz umieścić i schować, ale gdy sobie uzbieram na wykupno, a pani powiesz że jej zawadza ten kawałek płótna, to wtenczas odbiorę. Proszę, bardzo pani proszę, dodał, nie mitręż pani tej pracy małej, może to ostatnia prożba moja. I zabierając dukata spiesznie wychodził, a wiem tylko żeśmy widząc pomieszanie Stanisława zapytały się obiedwie: «Stanisławie poczekaj i wytłómacz nam, dla czego ma to być ostatnia prośba twoja?”... Ale Stanisław wybiegł był prędko bez odpowiedzi.

I w istocie było to ostatnie jego żądanie; bo na drugi dzień służebne wszedłszy rano do kredensu, nie zastały Stanisława, tylko na stole leżała kartka, w której żegna wszystkich, i przeprasza panią Xamesową, że opuszcza służbę bez jej wiedzy, ale że wszystkie powierzone sobie rzeczy spisane zostawia w porządku, nic więcej, żadnego tłómaczenia dla czego i gdzie się udaje.

Nie mogłyśmy się domyśleć, co mogło zajechać w głowę biednemu Stanisławowi. Był cichym, nikomu się nie mógł narazić, a sam znowu narzekać prawa nie miał, bo jego gorliwość w służbie oceniała pani Xamesowa i byłaby, gdyby był zażądał, i płacy przyczyniła. Nie można zatem było wnosić, że się dał odmówić.

W trzynaście lat później, byłam w Krakowie właśnie kiedy część wojska polskiego, z Francyi wracająca do kraju, wchodziła do Krakowa. Wyruszyło miasto całe na powitanie szeregów bratnich. Zaraz za sztabem wstępował pułk ułanów; powiewały chorągiewki, szedł szwadron po szwadronie, zazdrościłam tym, co znajdowali znajomych i witali ich z radością. Dla mnie bolesnym był widok tych resztek zastępu naszego, i w tej gwarnej chwili wsparłszy się na ręku ojca twego, utonęłam w zamyśleniu, a cały ten pochód wojska naszego snuł mi się jak postacie z przeszłości w Wiśliczankach. Wtem przystąpił do mnie wachmistrz ułanów, ozdobiony krzyżem zasługi wojskowej i znakiem legii honorowej i witał mnie serdecznie. Niepoznałam zrazu, aż przemówił i powiedział: „Pani nie poznajesz Stanisława?« — Podałam mu rękę i powitałam tego lat mych dziewczęcych znajomego.

Bywał u nas w Krakowie w ciągu wypoczynku wojska i wyspowiadał w końcu, że tak był owładnionym potęgą uroku Czyzi, że pozostać nie mógł dłużej u pani Xamesowej, że pragnął zostać artystą malarzem i naukę rozpoczął właśnie w tej wymówionej porannej godzinie, że to jego roboty krajobraz Cetnarówki, że pragnął dalej się kształcić, i w tej myśli przybył do Krakowa, ale gdy mu tam jeden z artystów naszych powiedział, że bez umysłowego wykształcenia nigdy do znamienitości malarskiej nie dojdzie, a wszędzie w ówczas zdybywał młodzież wybierającą się pod chorągwie bratnie, pochwycił myśl zaciągnienia się równie do wojska, bo się do niego uśmichnęła możność zakończenia rostrojonego życia na polu marsowem. „Ale inaczej Bóg chciał, zakończył Stanisław opowieść swoją, zamiast śmierci zdybywało mnie odznaczenie i blaski orderowe, których nie pożądałem nigdy: — ot tyle tylko, że już w głowie wyszumiało, i że się będzie, jak Bóg przykazał, wachmistrzem ułanów!«

Marian Mieczysław.

Rozmaitość.

* W szkole sztuk i rzemiosł w Angers, wyrabiają przyrząd nowego wynalazku, zapobiegający pękaniu dzwonów. Zależy to w części od nowego sposobu zawieszania tak, że w dzwon, ważący 1,200 funtów, 7-letnie dziecko łatwo przez kwandrans dzwonić może. Po rozmachaniu długo się on kołysze i sam przez się wtedy uderza 120 razy. Większy dzwon ważący 3,400 funtów, rozmachany kołysze się sam 10 minut. Nawet przy kołysaniu szarpiącem niepodobne jest pęknięcie dzwona z tym przyrządem, który nowym sposobem tak kosztowne narzędzie zabezpiecza od szkody. Wynalazek ten ma nazwę apparatu z podwójną pokładką, na który autor, ksiądz wikary w Chazésur Argos, patent otrzymał.

* Pan Cezar Biernacki podał w Dzienniku Warszawskim dat kilka do biografji autora Marji, czerpanych ze źródła urzędowego, zatem wiarogodnych, które tylko wyłącznie dotyczą służby jego wojskowej. Malczewski Antoni, syn Józefa urodzony w Warszawie dnia 3. czerwca 1793 roku według rysopisu, był twarzy okrągłej, oczu niebieskich, nosa małego, włosów ciemnych, czoła niskiego. Powierzchowności więc jak się zdaje łagodnej i ujmującej. Stan służby jego obejmuje następujące szczegóły:

Wszedł w służbę na podporucznika d. 1. września 1811 r. do korpusu inżynierów. 1. maja 1812 r. postąpił na porucznika do artyleryi konnej. 1 lipca tegoż roku przeniesiony na adjutanta polowego do sztabu jenerała Ksawerego Kosseckiego. 29. maja 1815 r. do sztabu kwatermistrzowstwa jeneralnego odkomenderowany. Odbył kampanją 1812 r. w Polsce; znajdując się w oblężeniu twierdzy Modlina, wskutek kapitulacji dostał się do niewoli. 28. grudnia 1815 r. na własne żądanie otrzymał dymisyą.

* Fryderek Soerensen, cywilny inżynier w Kopenhadze, wynalazł machinę do składania liter, to jest zastępującą zecerów drukarskich i to w ten sposób, że każdy najmniej nawet obeznany z sztuką typograficzną, może składać do druku tak prędko jak się zwyczajnie mówi. Jedna taka machina jest już w ciągłem użyciu w drukarni dziennika Fadrelandet, w Kopenhadze, i publiczność schodzi się aby patrzyć na jej działanie.

* Podano niedawno projekt postawienia w Grenock, w Szkocji, wielkiej piramidy zbudowanej z kamieni zbieranych we wszystkich częściach świata. Pomnik ten ma być poświęcony pamięci Jakuba Watt,

sławnego mechanika, którego zastosowanie pary w machinach, dało tak wielki popęd tegoczesnemu przemysłowi. Ta piramida ma być postawioną na nowym cmentarzu, na zachodniej spadzistości wzgórza które panuje nad wspaniałem widnokręgiem nad brzegami Klaydy.

* **Z Samborskiego.** W Torchanowicach dwaj chłopi ze złodziejstwa żyjący, tak zawzięcie o zysk z kradzieży pokłócili się, że jeden drugiego na murowanym gościńcu w nocy zamordował. Inny smutny wypadek zdarzył się w Kulmatyczach, obw. Przemyskim. Zgłodzony włościan wraz z swoją żoną, zadusili i spożyli własne dziecko. Ojciec wyznał w kryminale, że strawa była chuda, a sąsiedzi utrzymują, że okrutne małżeństwo gotowało się powtórzyć zbrodnię na swym drugiem dziecku. Pożary lasów nieustały; owszem od czasu doniesienia o wypaleniu lasu w Sozani a krzaków w Błażowie, podobne wypadki zdarzyły się w bardzo wielu miejscach naszego obwodu; co gorsza, są lasy jak w Sozani, Baczynie, gdzie dwa razy tej wiosny były pożary. Ta okoliczność i inne powody silnie przemawiają za domysłem, że ten nowy rodzaj klęski dla Galicyi jest wypływem złośliwej lub tajemniczej demonstracyi (?!), domysł nabierający pewności, jeśli lasów wypalania także po innych obwodach tak są częste jak w Samborskim.

Przyjechali od dnia 29. do 31. maja do Lwowa:

PP. Ubysz Feliks, z Ostobusza. Pietruski Julian, z Lachowic. Janiszewski Jan, z Wierzbiąża. Papara Stanisław, z Dolnicza. Korzeniowski Aleksander, z Machnowa. Csillik Franciszek, z Tarnopola. Płocki Konstanty, z Marianpola. Rubczyński Alfred, ze Stanina. Szczerbicki Leon, z Rudy. Sławikowski Antoni, z Krakowa. Dobrzański Władysław, z Manasterzysk.

PP. Jankowski Ludwik, z Brzykowa. Hordyński Jan, z Przemyślan. Konopka Henryk, z Tarnopola. Barański Karol, z Chłopczyc. Tyszkowski Józef, z Rybotycz. Wierzbicki Julian, z Kutkorza. Komarnicki Jan, z Magierowa. Zawadzki Nikodem, z Krzywego. Witkowski Teodor, ze Sroki. Onyszkiewicz Rudolf, z Łysiatycz. Czajkowski Hipolit, z Dydiatycz. Górski Jan, ze Stojanowa.

PP. Gorajski Ludwik, z Moderówki. Bobrowski Klemens, z Korsowa. Badziejowski Edward, z Dytkowic.

Wyjechali od dnia 29. do 31. maja ze Lwowa:

PP. Wojnarowski Antoni, do Stryja. Kleczkowski Franciszek, do Żółkwi. Golejowski Józef, hr. do Krakowa. Zagórski Klemens, do Zagórna. Bąkowski Jan, hr. do Stryja. Kizielewski Mikołaj, do Stratyna. Podoliński Karol, do Żółkwi. Mier Feliks, hr. do Witkowa. Stefanowicz Mikołaj, do Witkowa.

PP. Wiszniewski Henryk, do Dobrzan. Czetsch Karol, do Krakowa. Bogdanowicz Józef, do Złoczowa. Żardecki Konstanty, do Stryja.

P. Kubicki Jan, do Badomirza.

Dzisiejszy. **Kurs lwowski.**

		Gotowką			towarem.	
Dukat holenderski	zł r.	6	kr. 12	zł r.	6	kr. 16.
Dukat cesarski	"	6	" 16	"	6	" 19.
Półimperyał zł. rosyjski	"	10	" 50	"	10	" 54.
Rubel srebrny rosyjski	"	2	" 5	"	2	" 6.
Talar pruski	"	2	" 2	"	2	" 3.
Polski kurant i pięciozłotówka	"	1	" 31	"	1	" 32.
Galicyjskie listy zastawne za 100 zł r.	"	92	" 15	"	92	" 20.

Kurs telegrafowany z Wiednia wczoraj o 2 g. popołud.

Amszterdam	—.	Marsylia	—
Augsburg za 100 złr.	136¼.	Medyolan za 300 lirów	135½.
Bukareszt	—.	Paryż za 300 franków	160.
Frankfurt za 120 złr. podług 24½ stopy	136.	Agio duk. ces.	—.
		Srebra agio	36.
Genua	—.	Pożyczka 5% 85$^{11}/_{16}$..	4½ —
Hamburg za 100 tal. banco.	100¼	Pożyczka lit. B.	—
Konstantynopol	—	Akcye banku	1210.
Liwurno	134.	Kolej północna	2137½.
Londyn za 1 funt szterl.	13. 15.	Obl. ind.	5%. —

Lwów 30. maja. — Na dzisiejszym targu płacono korzec Pszenicy ozimej po 24 złr. 30 kr. do 27 złr. 45 kr. — Żyta po 22 złr. — kr. do 23 złr. 18 kr. Jeczmienia po 16 złr. 47 kr. do 18 złr. 30 kr. Owsa po 12 złr. — kr. do 13 złr. — kr. Grochu po — złr. — kr. do — złr. — kr. Hreczki po — złr. — kr. do — złr. — kr. — Ziemniaków po — złr. — kr. do — złr. — Sąg drzewa bukowego 26 złr. — kr. do — złr. Sosnowego po 21 złr. 15 kr. do — złr. — kr. w. w. Centnar siana 2 złr. 27 kr. do złr. 3 kr. 2. Centnar słomy 1 złr. 40 kr. do 2 złr. kr. w. w. Garniec 30 stopniowej okowity — Złr — kr. m. k.

Publiczne dziękczynienie.

Podpisany wyzdrowiawszy po nader niebezpiecznej chorobie, w uczuciu najgłębszej wdzięczności i uszanowania wielm. panu doktorowi i profesorowi Karolowi Nagel, za jego gorliwość, oględność, staranność i skuteczne leczenie, niniejszem należyte, i nieograniczone dzięki publicznie składa, albowiem skutkiem nieznużonego starania i trudu onegoż, prawie już nad grobem się chwiejąc, do zupełnego powróciłem zdrowia. Oraz też wszystkim łaskawcom i przyjaciołom, którzy mnie przez ten długi czas mojej słabości swojem współczuciem i pocieszeniem obdarzali, należycie i serdecznie dziękuję.

Lwów, 1. Czerwca 1854.

Fryderyk Hübner,
Obywatel lwowski.

Do dzisiejszego Numeru dołączone jest doniesienie tyczące się map teraźniejszego teatru wojny z nakładu K. Flemminga w Głogowie.

Z numerem dzisiejszym otrzymują szanowni prenumeranci **spis rzeczy i napis do 1go tomu Nowin.**

Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą: **H. W. Kallenbach.** Z drukarni **E. Winiarza.**